



## Mirosław Derecki

### DEPSY JUNG

Siedzę przy szosie. Oparłem się wygodnie o betonowy słupek. Kolana podciągnąłem pod brodę. Wiatr zdiera mi z głowy kaptur skafandra. W żołądku mam pół butelki „sikacza!” To dobrze robi. Bosman i Leoś zwiesili nogi do roweru.

Na nas trzech wypadła kolejka łapania przejeżdżających „wozów”. Jest dziesiąta rano i niebo jak pomyje.

Bosman trąca Leosia. - Dooobra ona jest, co? Podoba ci się? Ale nic, bracie z tego nie będzie.

- Odwal się – mówi Leoś

A Hanka leży na samym dnie rowu. Tam jest najcieplej. Trzymanym w zębach długich źdźbłem trawy łaskocze usta Cygana. Obok nich – Bil, Kuba, Zeus i chłopak Hanki. Kończą teraz trzecią ćwiartkę.

- Masz pij! - Kuba wyciąga rękę. Hanka powoli, z dobrze „robionym” znudzeniem wykręca twarz w jego stronę. Świnio – mówi – swinio - powtarza mrużąc oczy – zaślinieś flaszkę.

- No, to tak jak byśmy się pocałowali, nie? - żartuje Kuba.

Hanka coś odburknęła. Ssie szyjkę butelki kątem ust, nie wypuszczając trawy z zębów. Krzywi się przy tym okropnie. W pewnym momencie leżący obok Hanki Cygan ryczy. Kropla wódki spłynęła mu prosto w oko.

Szosa pusta. Jak dalej tak pójdzie, nie dobijemy dzisiaj do Warszawy.

- Trzysta kilometrów! Mój Boże, niby mało, a dużo – wzdycha Leoś.

Tak. Ktoś tutaj wyraźnie podrywa Cygana. Czy dlatego, że ten popisuje się znajomością dwóch czy trzech słów cygańskich, za których autentyczność nie dałbym zresztą dwa razy się sztachnąć, czy z racji kręconych czarnych włosów? A może właśnie dlatego, że – stary praktyk – całym swoim zachowaniem podkreśla gdzie ma takie babki? Albo Hanka chce nam po prostu zagrać na nerwach.

Tak czy inaczej jej „stały” chłopak o mordce mrówkojada nie ma w tej chwili żadnych szans.

- Muszę zrobić siusiu – podrywa się nagle Hanka.

Patrzemy z góry jak przełazi na drugą stronę rowu i kołysząc biodrami idzie przez łąkę.

Znad wysokiej trawy widać teraz tylko jej jasną, nastroszoną fryzurę.

- Te dzinsy to mało jej na tyłku nie pękna! - mówi ze złością Leoś. Bosman uśmiecha się filozoficznie. Z rowu natomiast dobiega głośny śmiech Cygana.

- I czego rechoczesz, łebasie niemyty! - zaciętrzewił się Leoś. Ale Cygan nie obraża się.

- „Dooobra” jest! - mówi Bil i korzystając z okazji zajmuje miejsce bliżej pustego legowiska Hanki.

- „Dooobra” jest! - powtarza Kuba i też przesuwa się bliżej.

I znowu cisza.

Ktoś wolno nadchodzi od strony miasta. Pochylony, lekko kołyszący się w biodrach, stawia długie, równo odmierzone kroki. Ciągnie prawą stronę szosy, oglądają się co pewien czas za siebie. Wystarczy, żeby poznać kumpla ze Stopu.

- No, i jeszcze jednego cholera niesie – mówię ze złością. Pewnie będzie chciał się do nas przyłączyć!

- Jak gówniarz, to go pogonię pięćdziesiąt metrów dalej. I tak nas tutaj za dużo. Niech się sam nauczy podnosić rękę. Każdy porządny kierowca wystraszy się, jak zobaczy tyle ludzi – odzywa się Leoś.

- Zobaczymy – próbuję ratować ewentualnego „gówniarza” - ostatecznie mamy przecież babkę.

- Babkę, babkę! - przedrzeźnia Leoś i rzuca spojrzenie na tamtych w dole.

Bosman wstał. Czyści zakurzona granatową kurtkę. Jednocześnie uważnie przygląda się idącemu. Chwila milczenia. Wreszcie stwierdza: - Traper.

- Traper?! Patrzcie, Traper! Niemożliwe! Tutaj Traper?! Został pięćdziesiąt kilometrów stąd!

Kiedy o piątej rano, przy akompaniamencie deszczu walącego w blaszany dach stodoły, wychodziliśmy na trasę, tylko naciągnął lepiej na głowę koc. Na tej cholерnej bocznej drodze cudem złapaliśmy jakąś ciężarówkę z mlekiem. Jeszcze teraz bolą nas tyłki od siedzenia na bańkach...

- Nie ma mowy. Traper bracie siedzi w tej chwili pięćdziesiąt kilometrów stąd i klnie.

- Traper – upiera się Bosman. - Czarne spodnie, zielony skafander i plecak a nie worek.

- Ale cholera, jak on...

- Traper jeździ sam. Łapie motory.

No i okazuje się, że Bosman ma rację. To Traper. Podnosi niedbale dłoń do kaptura. - Cześć! - mówi. - Warto było tak wcześnie wstawać?

- Cholernie mnie wywiało. Dawno stoicie?
- Cześć! - mówimy. - Dopiero z półtorej godziny. Nic nie jedzie. Czym przeleciałeś?
- Motor mnie zabrał.

Wraca Hanka. Z daleka podnosi rękę. Niedbały salut. Ruch głowy Trapera w jej kierunku.

- No i klawo – mówi Traper z zadowoleniem. - Mamy babkę do zatrzymania. Gdzie ją dorwaliście? Fajnie tańczy. - A potem dodaje dla wyjaśnienia: - widziałem na Zlocie w Zielonej Górze.

- To nie my, tamci. Jadą z nią od samej Zielonej...
- I co, ona dalej z tym „mrówkojadem”?...?
- Teraz podrywa Cygana.
- Acha. Dla draki?
- Cholera wie. Jest trochę zalana.

Więc Hanka wraca i z powrotem wchodzi do rowu. Zauważyła zmianę miejsc Kuby i Bila. Uśmiecha się.

„Mrówkojad” siedzi odęty i ze złością podrzuca w górę pustą butelkę. Natomiast Zeus ze swego miejsca wykrzywia się przymilnie.

Bil i Kuba zaczynają licytować się w „grze półsłówki”. Cygan dalej zachowuje obojętność. My, na górze, zafrapowani jesteśmy raczej nagłym przybyciem Trapera. Mimo to Hanka i tak jest zadowolona. Kuba, Bil i Zeus są już „gotowi”. Podnieceni wypiją wódkę i obecnością babki sadzą coraz bardziej pieprzonymi kawałami. Hanka chichocze wstydliwie, ale prowokująco. Kokietuje ich wcale niedwuznacznie. Zdobyła wdzięczne pole do popisu. Od czasu do czasu ze śmiechem uderza mówiącego po ustach, kiedy jak uważa, zbytnio się zagalopują.

„Mrówkojad” jest zmartwiony, ale i Zeus nie ma powodów do radości. Zorientował się, że chociaż kokietowany, w tej rozgrywce nie wchodzi w rachubę...

No bo kto to jest Zeus? Kawał gówniarza i tyle. Że jest starym wyjadaczem tras, jeżdżącym od Pierwszego Roku? Że w Drugim Roku jeździł bez przerwy jak głupi i w czasie jednego sezonu obleciał całą Polskę dookoła cztery czy pięć razy, z czego teraz śmieje się byle żółtodziób. Że wszyscy autostopowicze znają jego czarny damski kapelusz z wypisanym białą farbą pseudonimem właściciela?

To dla dziewczyn znaczy tyle, co splunąć. Nie to się liczy.

Liczy się klawy wygląd i „gaidło”. A Zeus ma niestety postawę basse-ballowca szóstej kategorii, a jego umiejętność prowadzenia konwersacji zaczyna się i kończy na znanym całemu Stopowi zwrocie: „chłopaki, jak rrrany!”

Dziewczynie trzeba czymś zaimponować...

I nagle Zeus ma pomysł! Lekko zataczając się podchodzi do Hanki i poklepuje ją po

siedzeniu. A kiedy ta kieruje na niego bardziej zdziwione niż oburzone spojrzenie, stwierdza autorytatywnie: - „denisy”.

- Co „denisy”? - Hanka jest zdezorietowana

- Jak rrrany! - udaje zdziwienie Zeus – Farmerki - „denisy”, mówię, że twoje farmerki, znaczy się dzinsy, są „denisy”.

- Dlaczego akurat „denisy”?

- Bo „denisy”. Ja bracie, tylko spojrzę na dzinsy i od razu wiem jakie. Czy amerykańskie, czy francuskie czy polskie – podrabiane. Mieszka się w tym Rzeszowie. Żeby miał w tej chwili tyle złotych, ile par dzinsów przehandlowałem w swoim życiu! „Denisy”, rozumiesz, są więcej niebieskie niż szare i nie tak sztywne jak na przykład „dunkry” albo „wanglery”. Ale „denisy” też są jedne z najkławszych – pociesza Hankę.

- No, może sprawdzimy, czy się mylę? - Zeus bez pytania podciąga jej sweter. Wszyscy mogą naocznie przekonać się. Znak fabryczny umieszczony pomiędzy paskiem spodni a prawą tylną kieszenią informuje, że Hanka jest posiadaczką autentycznych amerykańskich „denisów”.

Zeus patrzy z dumą po obecnych. Nie dostrzega ironiczných uśmiezków Hanki i jej zwolenników, a potężny wybuch śmiechu ze strony Bosmana i Leosia przyjmuje ze stoickim spokojem.

- Szmaciarze – mówi – szmaciarze, co wy możecie się znać na farmerkach!

Zrozumiał opacznie, że podają w wątpliwość jego fachowe wiadomości. Ambicja jego została urażona, Zeus zaczyna swoją „pieśń nad pieśniami”:

- Tylko amerykańskie dzinsy są naprawdę na medal – mówi. Miałem w rękach holenderskie, włoskie, francuskie, niemieckie, ale to wszystko lipa. „Podrabiane”. Już ciekawsze są angielskie. Jak zobaczysz na jakimś chłopaku takie bardzo jasno niebieskie, to są właśnie angielski. Ale angielskie też do chrzany! Tylko „ju es ej” to jest coś!

Tutaj masz na każdą okazję inne spodnie. Szaroniebieskie „dunkry” i „wanglery”, sztywne, jak się w nich wykąpiesz a później zdejmiesz i postawisz na ziemi, to same stoją. „Depsy”, trochę gorsze od nich „lewis sztrausery”, zwykle „li”, „li” z flanelową podszewką, żeby ci w zimie nogo nie marzły, spadochroniarskie – z tyłu sznurowane. Do tego dochodzą „ogrodniczki” - na szelki, no i najkławsze... tutaj Zeus robi efektowną pauzę... - „depsy-jung”.

- „Depsy-jung” to są bracie spodnie na motor. Grube, sztywne, na kolanach i na tyłku mają naszytą skórę, żeby się nie przecierały, na dole zwężone, żeby nie przepuszczały powietrza. To wszystko. Innych nie znajdziesz. Zeus ci to mówi!

- Jezus Maria, ale kretyn! - chichocze Bosman – I gdzie się „toto” uchowało?!

- Kozak z ciebie, Zeus! - odzywa się głośno Hanka.

- No, to już możesz wrócić na swoje miejsce – kończy Cygan.

Zaczyna mżyć deszcz. Jest zimno. Samochodu ani na lekarstwo. Tamci wstają.

- Nie ma co siedzieć. Dzisiaj już nic nie złapiemy – przekonują towarzyszkę. Trzeba poszukać jakiejś stodółki.

Cygan obejmuje Hankę. - No. To cześć! - zwraca się do nas.

Rozumiemy. Nie ruszamy się ze swoich miejsc. Odchodzą. Idą przez łąkę w kierunku odległych o jakieś pół kilometra zabudowań. Przodem Cygan z Hanką, za nimi Kuba i Bil. Na końcu wlecze się Zeus z „mrówkojadem”. W połowie łąki Hanka odwraca się – Ciao, Leoś! - woła

- Idź, idź z nimi frajerko – mruczy Leoś. „Przerobią” cię w tej stodole. Nawet i Zeusowi coś się dostanie. Głupia dziewczucha! Trochę wypila, to teraz się kozaczy! A później będzie płacz...

- Już ty się o nią nie bój! - uspokaja Traper. - Jest bardziej cwana od nich wszystkich razem. Warszawianka!

- Trzymaj go!

Wypryskuję na szosę

- Szybko! Dajcie książeczkę.

Samochód jest już bardzo blisko. Zagadaliśmy się i jeszcze chwila a byłby nam uciekł. Ciężarówka - „Star”. Bez budy. Pusta. W szoferce tylko kierowca. Jedzie wolno, powinien się zatrzymać! Wygląda na takiego, który powinien się zatrzymać!

- Bierz go na litość!

Spokojnie. Byle tylko faceta nie spłoszyć... Powoli, wabiąco macham książeczką. Równocześnie lewą ręką wskazuję na niebo. Postawa błagalna, Oczy „pełne wyrazu”.

- Zatrzymaj się pan jak Boga kocham co panu zależy kilku chłopaków... Nie widzisz pan, jaka cholerna pogoda? Bądź pan człowiekiem... - proszę w duchu kierowcę

Za moimi plecami Bosman, Leoś i Traper błyskawicznie zbierają z ziemi porzucane ciuchy i byle jak wpychają je do worków. Na wypadek, gdyby samochód zatrzymał się.

Kierowcy mają mało czasu i nie lubią czekać na maruderów. Poza tym zdarza się, że taka stanowcza postawa, taki naoczny dowód – wszystko przygotowane, tylko wsiąść i jechać, jakby to od dawna było już ustalone z kierowcą sprawia że noga automatycznie naciska hamulec.

„Star” zwalnia. Mija nas, staje. Dobiega pierwszy. Z tyłu kumple taszczą mój worek i koc.

- Taaaka okazja! Przez dwie godziny ani jednego wozu na szosie i raptem „bezpośredni” do samej Warszawy! Trzysta kilometrów bez przesiadki!

Wóz jest z Warszawskiej Pracowni Konserwacji Zabytków. Wiezie tylko dwa stare kotły, poza tym miejsca wystarczyłoby nawet dla dwudziestu osób. Udało nam się.

Cygan i reszta zawracają. Biegają machając rękami. Ale samochód już rusza. Nie zdążą.

- Ciao, Hanka! - odgrywa się Leoś. Później przysiada na trzęsącej się burcie ciężarówki –

No, ulżyło mi!

Kierowca zobaczył go w bocznym lusterku. Wychyla się z szoferki: - E! - woła – jak chcecie, żebym was wiozł to siedźcie grzecznie na dnie skrzynki! Mandatów za was płacić nie będę! - Leoś posłusznie przenosi się w bezpieczniejsze miejsce.

Godzina dwunasta. Początek podróży. Do Wrześni mamy około dwudziestu kilometrów. Tam jest krzyżówka z szosą pierwszej klasy biegnącą z Poznania do Warszawy. Skręcimy w prawo i przez Konin, Krośniewice, Łowicz, Sochaczew – dwieście kilkadziesiąt kilometrów dobrej nawierzchni. Za cztery, pięć godzin powinniśmy być na miejscu. Przyjemny spacer. Łagodnie, bez wstrząsów.

Bosman nie podziela mojego entuzjazmu. - Spacer – powtarza ironicznie. Niedługo po uszy będziesz miał tego „spacerku”. Teraz jeszcze „flacha” cię grzeje, ale za pół godziny przekonasz się, co znaczy w taką pogodę jechać kabrioletem. - Traper i Leoś przytakują – okazja okazją, ale dzisiaj nieźle sobie „popracujemy”.

- Przesada.

Jednak już po kilkunastu minutach zaczynam rozwiązywać worek. Gdzieś na dnie powinien być jeszcze jeden sweter.

Mieli rację. Od pewnego czasu przesiadam się z miejsc na miejsce. Ale wszędzie zimny wiatr dmie z jednakową siłą. W tylnej części skrzyni pierze po twarzy sadzą i rdzą poobijaną z kotłów – jest je pełno na podłodze ciężarówki. Przy burtach, pomimo kaptura skafandra, wiatr przelatuje przez wszystkie dziury w zębach. Najcieplejsze stanowisko, za szoferką, od dawna zajęli już przezornie Bosman z Leosiem. Wreszcie traper ustępuje mi kawałek miejsca za jednym z kotłów. Tutaj jest trochę zaciszniej.

Krzyżówka. Wjeżdżamy na warszawską szosę. Bosman spogląda na zegarek: 0 Jak Boga... - dziwi się – coś wolno jedziemy. Godzinę temu wsiedliśmy, a dopiero Września. Dwadzieścia kilometrów...

Silnik pracuje nierówno. Często przerywa. Wspinając się na najmniejszą wyniosłość wyje na pierwszym biegu. Jeszcze kilka kilometrów i milknie.

Z szoferki dochodzi zgrzyt podnoszonej osłony motoru. Postój przedłuża się. Siedzimy zmarznięci, zubożnięci na wszystko – Jedzie to jedzie – Nie jedzie, niech sobie stoi – W końcu jednak Leoś nie wytrzymuje. Idzie na rekonesans. Długo nie wraca.

Cisza

- no, no, no... no, no, no... - mruży Traper kiwając głową z boku na bok. Rozbolał go ząb.

Z mojego miejsca widzę kawał szosy w kierunku Poznania. Jest pusta. Z tyłu, od strony

Warszawy, też nie dobiega żaden warkot.

– Co jest u licha – myślę – co za fatalny dzień?! To przecież ruchliwa trasa. Jechałem tędy nie raz. Nawet o tej porze, kiedy ruch jest o połowę mniejszy niż rano albo po południu, przynajmniej co pięć minut przejeżdżał jakiś wóz. Beznadziejnie...

Od strony szoferki dochodzą od głowy rozmowy Leosia z kierowcą, brzęczą jakieś blaszanki. Bosman drzemie.

– No, no, no – kiwa się Traper.

Leoś wraca. Kuca obok mnie, wyciąga z kieszeni dwa wygniecione Sporty – No to możemy sobie zapalić – mamy czas. Postoimy sobie tutaj najmniej pół godziny – oznajmia z rezygnacją – Rozmawiałem z kierowcą...

– Nawalił? Może trzeba pomóc?

Zaprzecza ruchem głowy: - Ma wytopioną panewkę. Nic mu nie pomoże. Wyjechał wczoraj wieczorem z Kłodzka na resztkach oleju, myślał, że dostanie we Wrocławiu. Ale wszystkie stacje benzynowe były już zamknięte. Musi być dzisiaj w Warszawie, a chciał jeszcze odwiedzić żonę gdzieś tam pod Poznaniem. Więc nie czekał do rana aż otworzą, tylko całą noc zasuwał na tych resztkach. No i masz rezultat! Teraz ma już ten olej i leje go bez przerwy, ale może jechać najszybciej czterdzieści na godzinę. Co kilkadziesiąt kilometrów staje, bo motor grzeje się.

– A szosa pusta!

– Pusta

Samochód znowu toczy się wolno w stronę Warszawy. Trzy przelotne deszcze, dwa dalsze postoje, to bilans ostatnich trzech godzin podróży. Minęliśmy Koło, za godzinę powinniśmy dojechać do Krośniewic. Tam jest druga ważniejsza krzyżówka na trasie Poznań – Warszawa. W Krośniewicach „naszą” szosę przetnie inna, biegnąca z Łodzi do Włocławka i dalej do Torunia. Jeżeli tam nie uda się przesiąść na jakąś szybszą „Okazję”, do Warszawy dojedziemy dopiero około dziewiątej wieczorem. Tak przynajmniej przewiduje kierowca.

Miejsce obok mnie jest puste. Traper ulokował się wewnątrz kotła.

Kiedy stoję wyprostowany, górna krawędź kotła sięga mego podbródka. Wspiąwszy się na palce, mogę zajrzeć do środka. Głęboko na dnie siedzi coś co przypomina ropuchę w agonii. Traper. Oczy mocno zaciśnięte, usta i nos umieścił w zagięciu łokcia. Ze ścian kotła sypią się na niego tumany rdzy. Ale za to w kotle jest ciepło, nie ma wiatru, bolący ząb powoli uspokaja się. Bez przerwy wiercę się na swoim miejscu. Po chwili siedzenia bez ruchu na trzęsącej się podłodze, zaczynają cierpnąć nogi i pośladki. Żelazna ściana kotła uwiera w kręgosłup. Tuż przed oczyma kołysze się niebezpiecznie końcówka ciężkiego łańcucha spinającego burty ciężarówki.

Wreszcie idę w ślady dwóch pozostałych towarzyszy niedoli. Rozkładam na podłodze koc i

kładę się na nim. Turlając się z boku na bok, okręcam go ściśle wokół ciała. W takim „opakowaniu” ręce i nogi są co prawda skrępowane, leżą bezradnie jak dziecko w powijakach, ale za to od razu robi się cieplej. Poza tym, kiedy cierpną plecy, można zawsze przewrócić się na brzuch. Jest tylko jedna niedogodność : - rytmiczne drgania podłogi samochodu sprawiają, że śmiecie znajdujące się na dnie „paki: i kurz przedostają się przez szpary w podłodze tworzą nad nią wysoką na 30-40 centymetrów zawieszinę. Ta koszmarna „warstwa”, wciska się do uszu, nosa i płuc, jest dobrze znana wszystkim tym, którzy mieli okazję podróżować odkrytymi i niewysprzątanymi ciężarówkami. Kurz – przynajmniej w przedniej części skrzyni bagażowej – nie unosi się nigdy ponad 40 centymetrów. Wyżej już rozprasza go pęd powietrza. Można go ostatecznie znieść kiedy siedzi się. Gdy jednak zmęczenie albo zimno zmuszają do położenia się, jadący ma przedsmak samunu. Jeżeli do „zwykłych” śmieci dochodzą jeszcze sadze i sproszkowana rdza, jest prawie jak w przedsionku piekła.

Usta zakryłem brudnym kocem. Oszukuję się, że w ten sposób powietrze zmieszane z kurzem ulega „przefiltrowaniu”.

Jazda staje się coraz bardziej makabryczna. Byle do Krośniewic. A tymczasem powinienem całkowicie „wyłączyć się” - Wtedy czas mija szybciej...

Nagle, poprzez dudnienie samochodu, dobiega zgrzyt jakby siłą otwieranych drzwiczek starego pieca. Jednocześnie we włosy wpada wyjątkowo duża porcja rdzy, a po chwili czyjaś ręka bezceremonialnie wpycha mi do ust zapalony już papierosa. Otwieram oczy.

Tuż nad moją głową, w ścianie kotła, Traper odkrył małe drzwiczki. Po otwarciu ich może swobodnie rozmawiać z kolegami – nie ruszając się jednocześnie ze swego cennego miejsca. Dzięki powstałemu przewiewowi, burza szalejąca wewnątrz kotła częściowo traci na sile.

Bibułka papierosa rozłazi się w brudnych palcach, wilgotny tytoń trafia między zęby – w ustach gorzyc. Jednak choćby najgorszy papieros – robi swoje. Wymotuję się z koca. Traper przygląda mi się przez chwilę krytycznie.

– Masz dosyć? - zagaduje.

Głupie pytanie. Oczywiście, że mam dosyć takiej podróży. Ale nie przyznałbym się do tego za nic. Więc zamiast odpowiedzi wydaję nieokreślony pomruk – hmmm, hem – mówię – w różnych warunkach się jeździło. Raz, jak całą noc jechałem na beczkach z ropą...Traper przerywa:

– A na końskim nawozie jeździłeś?

– Ale jechałem na kątownikach...

– Lipa! Dopiero na nawozie wiesz, że jedziesz! Stałem raz pod Świdnicą, leciałem na Bolków...

Szykuje się dłuższe opowiadanie. Bosman i Leoś przysiadają obok. Tworzymy teraz interesującą grupę... Trzech zawiniętych w brudne łachy facetów, nad nimi w małym prostokątnym



otworze kawałek twarzy czwartego. Usta i nos.

– Więc stałem na szosie pod Świdnicą – ciągnie Traper – Wiesz, tam jest taka wylotowa ulica, „Męczenników Oświęcimia” czy coś w tym rodzaju, ze mną Pryszczaty i kilku gnojków. Znać. Pryszczatego? - Kiwam głową. - Jechałem z nim kiedyś z Opolą do Wrocławia.

– Zgłosił się idiota na ochotnika do komandosów, na jesieni ma iść... - uzupełnia wiadomości o Pryszczatym Bosman.

– Niece? - dziwi się Leoś.

– No właśnie, ten sam – potakuje Traper.

– Pustki były na szosie takie jak dzisiaj, Robił się wieczór, następnego dnia było w Bolkowie otwarcie Złoty, byliśmy tam umówieni z babkami no i chcieliśmy zająć jakieś porządne miejsca do spania. Stoimy jedną godzinę, drugą, dochodzi ósma wieczór, słaba nadzieja żeby coś jeszcze jechało. Gnojki się złamany, poszły gdzieś, Ja też sobie kombinuję: - może lepiej pójść do chłopca niż sterczeć tutaj? Ale Pryszczaty zaciął się. - Żeby miał na samym gównie jechać – mówi – będę dzisiaj w Bolkowie.

– Miał rację – stwierdza Leoś. Jak nie ma nic innego do roboty, to zawsze jeszcze można sobie postać. Na wszelki wypadek.

– Pewnie, że miał rację. Postaliśmy tak jeszcze piętnaście minut, patrzymy, z miasta wyjeżdża ciężarówka. Taki „lublinek”. Odkryty jak ten, którym teraz jedziemy, wewnątrz kilku stopowiczów. Nie chciał się zatrzymać, ale zaczęli krzyczeć, walić w dach szoferki. Stanął, zabrał nas. I wtedy bracie, zobaczyliśmy co to znaczy jechać w beznadziejnych warunkach! Było nas dziewięciu chłopczków i dwie babki. Samochód przystosowany do przewozu koni. Burty podwyższone, skrzynia podzielona deskami na pojedyncze klatki dla koni, na podłodze coś w rodzaju kraty – też z desek – a pod tym pełno końskiego nawozu. Na początku to nam nie przeszkadzało. Stanęło się jedną nogą na jednej desce, drugą na drugiej – trochę ślisko, ale można wytrzymać. Dopiero jak samochód zatrzymał się pierwszy raz, zobaczyliśmy, że coś tutaj nie gra. Od razu jakby nam ktoś dał pięścią w nos. Smród straszny. Oczy łzawią od amoniaku.

Na szczęście jednak szofer ruszał, znowu było względnie, wszystko wywiewał wiatr.

Ale zaczął padać deszcz. Tymczasem wjechaliśmy już w góry. „Lublinek” miał motor mocny jak diabli – chyba te wszystkie konie, które woził, gonił go teraz – góra nie góra, zakręt nie zakręt, walił siedemdziesiątką. Na tej trasie serpentyny siedzą jedna na drugiej, więc coraz rzucało nami od burty do burty. I ten deszcz! Nawet nie był jakiś specjalnie duży. Zwyczajny drobny deszczyk. Ale przy tej szybkości i chłodzie był po twarzy tak silnie jak grad. No i przemokliśmy do gołej skóry.

Nie można było usiąść ani nawet kucnąć za szoferką, bo ten cholerny gnój, pomimo deszczu, „kurzył się”. A poza tym kucnij na śliskich deskach w takich warunkach, zobaczysz ile wytrzymasz.

Więc nic innego nie można było zrobić jak stać i marznąć.

- Tak że dzisiaj jeszcze nie mamy tak źle – zakończył Traper.

Rozruszaliśmy się trochę. Przygnębienie minęło. Nawet kolejny postój naszego „grata” nie wpłynął na zmianę humoru. Zresztą po chwili okazuje się, że tym razem to nie awaria, ani chłodzenie silnika, ani dolewanie nowej porcji oleju. Kierowca odpina tylną „klapę” - Zabieramy jednego pana – mówi – zepsuł mu się motor.

Wspólnie ładujemy „Jawę” na platformę ciężarówki. Właściciel, młody człowiek w eleganckiej „skórze” wyjaśnia: - cholerny gaźnik!

- Popatrz – trąca mnie Bosman - „depsy-jung”!
- Gdzie?
- Na tyłku tego faceta

Traper wynurza się ze swego kotła:

- Chłopaki, jak rrrany! - przedrzeźnia Zeusa – autentycznie „depsy-jung”!
- „Ju es ej”! - zanosi się do śmiechu Leoś.
- Jak rrrany – ciągnie dalej Traper – szmaciarze, co wy możecie znać się na farmerkach!

Zeus wam to mówi!

- O Boże! - kona Bosman na moim ramieniu - „de...he...he...psy-jung”! Nie mogę! Jak spojrzałem na te „de...psy”, od razu przypomniałem sobie dzisiejszą gadkę Zeusa! „Depsu-jung”. Ch...cholerny podrywacz!

Facet patrzy na nas bawolim wzrokiem. Nie rozumie.

- Panowie – mówię...
- „Depsy-jung”! - ryczymy chórem.
- Panowie, o co chodzi...?
- Skóra na tyłku i kolanach, żeby się nie prze...he...tarły. - Bosman uważnie lustruje wzrokiem nieszczęsne „depsy”.
- Ależ one nie są klasyczne! To jakiejś „zboczeńce”! - udaje straszne oburzenie – mają flanelową podszewkę, tego u Zeusa nie było...!
- Krzyżówka! - krzyczy Leoś – krzyżówka „depsów-jung” z „zimowymi li”!

Znów Traper siedzi wewnątrz kotła. Ja za to zajmuję miejsce za szoferką. Bosman i Leoś zostali daleko stąd, pod Krośniewicami. Postanowili poczekać na skrzyżowaniu na „coś bardziej atrakcyjnego”. Jak dotąd, nie wyprzedził nas jeszcze żaden samochód. Chyba nie dojadą dzisiaj do Warszawy. Facet z motorem wysiadł w Łowiczu. Minęliśmy Sochaczew.

Leje deszcz. Nic mi teraz z miejsca za szoferką. Na głowie zarzuciłem płaszcz nieprzemakalny. Mało pomaga. Worek mokry. Wszystko mokre. Szoferka zajęta – kierowca wziął

jakiegoś „łebka”. Za godzinę dojedziemy do Warszawy. Traper pewnie utopił się już w swoim kotle...

Jest jedna knajpa w Warszawie. Nazywa się - „Młynów”. Spiełem tam Trapera.

Kiedy wtoczyliśmy się do namiotów Campingu przy Dworcu Gdańskim, dochodziła pierwsza. Nie przyjmowano już nikogo. Wszystkie miejsca były zajęte.

Zebraliśmy jakimś szczeniakom dwa materace. Rzuciłem je w błoto między pryczami. Na to Traper położył nieprzemakalną pałatkę. Żeby sucho było przynajmniej od spodu.

- Wiesz wczoraj te „depsu-jung” uratowały mnie – powiedział rano
- Miałem dosyć. Zostałbym na trasie. Dopiero jak zaczęliśmy się śmiać, jakoś od tej całej zgrywy nabrałem trochę sił.
- A ta jazda na nawozie...?
- Opowiadał mi to kiedyś jeden facet...

Pierwodruk: „Kamena”, 1962, nr 11, s. 10-12.